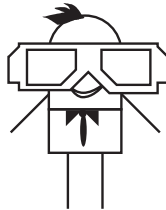


DLACZEGO  
*Przydatne*  
OSZUKUJEMY  
*złudzenia*  
SIEBIE



DLACZEGO  
*Przydatne*  
OSZUKUJEMY  
*złudzenia*  
SIEBIE

**SHANKAR VEDANTAM**

BILL MESLER

PRZEKŁAD: JUSTYNA RUDNIK

*Mojej matce, Vatsali, która pokazała mi,  
że siłą woli można zmienić rzeczywistość.*

Shankar Vedantam

*I mojej matce, Chun Yun, małej dziewczynce  
z Pjongjang, która przetrwała wojny i głód,  
a dzięki własnej sile oraz determinacji  
pokonała morza i kontynenty.*

Bill Mesler

*Jeśli ludzie chcą w coś wierzyć, pragną tego i z tego powodu czują się lepiej, to czyż oszustwem jest pomaganie im umocnić się w swej wierze (...)? Czyż nie jest to raczej dobroczynność i ludzka życzliwość?*

MARGARET ATWOOD, *GRACE I GRACE*

# Spis treści

Wstęp	11
<b>CZĘŚĆ I ■ CODZIENNE ŻYCIE</b>	27
1. Puste słówka	29
2. Wszystko będzie dobrze	46
3. Teatr uzdrawiania	61
4. Niewidzialna ręka	80
<b>CZĘŚĆ II ■ POSZUKIWANIE ZNACZENIA</b>	101
5. Serce ma swoje powody	103
6. Rozumowanie predyktywne	139
7. Gdzieś ponad tęczę	160
<b>CZĘŚĆ III ■ PLEMIĘ</b>	181
8. Idąc przez ogień	183
9. Coś, za co warto umrzeć	204
10. Wielkie złudzenie	227
Epilog	253
Podziękowania	265
Przypisy	270
Bibliografia	283
Indeks osobowy	295
Indeks rzeczowy	299

# Wstęp

Shankar Vedantam

Zimą 2011 roku, moja żona, córka i ja wyruszyliśmy samochodem z Waszyngtonu do Toronto, żeby odwiedzić przyjaciół. Droga była piękna, prowadziła przez wspaniałą, bujną krainę wzdłuż podnóży Alleghenów, malowniczego pasma górskiego, by w końcu doprowadzić nas do jeziora Erie i wodospadu Niagara. Wcześniej jednak zrobiliśmy postój tuż za granicami miasta Pittsburgh, gdzie miałem wyznaczone spotkanie z pewnym skazańcem.

Konieczność niewielkiego zбочzenia z trasy niespecjalnie zaskoczyła moją rodzinę. Wcześniej już odbyliśmy tę samą podróż i po drodze również zatrzymaliśmy się obok więzienia o zaostrożnym rygorze, żebym mógł przeprowadzić wywiad z mężczyzną skazanym za zabójstwo. Rozmowa miała mi posłużyć jako materiał do książki *The Hidden Brain*. Tym razem moim rozmówcą miał być przestępca zupełnie innego typu, z kręgu „białych kołnierzyków”. W wystawionym za nim liście gończym zaznaczono, że był on założycielem „organizacji o charakterze religijnym”, zwanej „Kościołem Miłości”. Gwoli precyzji, należałoby go określić mianem oszusta, któremu udało się dokonać jednego z najdziwniejszych i najbardziej pomysłowych przekrętów w historii Ameryki. Nazywał się Donald Lowry.

Na Lowry’ego po raz pierwszy zwróciłem uwagę kilka miesięcy wcześniej, podczas lektury pewnego dość enigmatycznego

artykułu naukowego. Wspomniano w nim o kilku elementach schematu działania Lowry'ego, dość beznamiętnie określonego mianem „stosunkowo pomysłowej reklamy pocztowej”. Wzmianka zaintrygowała mnie na tyle, że zacząłem szukać dodatkowych informacji. Ku mojemu niemałemu zaskoczeniu, było w czym wybierać. Osoby czytające prasę i oglądające telewizję w drugiej połowie lat 80. ubiegłego wieku być może natknęły się na choćby wzmiankę o Kościele Miłości. Historia Lowry'ego doczekała się opisu w „New York Times”, „Los Angeles Times”, kilku periodykach o zasięgu krajowym, a także w czterech największych sieciach telewizyjnych. Z nim samym wywiady przeprowadzili Bill O'Reilly dla *Inside Edition* oraz Maury Povich dla *A Current Affair*. Jego proces był relacjonowany przez Australian Broadcasting Corporation i przez „Paris Match”, największy tygodnik informacyjny we Francji. Jego przekrętowi został też poświęcony jeden z odcinków cieszącego się ogromną popularnością talk show *Geraldo*.

Historia była nie tylko niebanalna, ale też pociągająca: łysejący pisarz w średnim wieku, z niewielkiego środkowo-zachodniego miasteczka, przyjął osobowości dziesiątek fikcyjnych kobiet, by w ich imieniu pisać listy miłosne do dziesiątek tysięcy mężczyzn – oto „stosunkowo pomysłowa reklama pocztowa”. Każda z pań charakteryzowała się unikalnym stylem pisania, słownictwem i osobistą historią. Listy były drukowane masowo, jednak każdy zawierał szereg cech dających im rys indywidualności. Lowry wykorzystywał wzory liter imitujące odręczne pismo, a same listy często drukował na papierze barwionym, zazwyczaj w pastelowych odcieniach. W treści nierzadko wplatane były wyrażenia kojarzone z pełną werwy dziewczęcością czy dziwaczne, cechujące się kapryśnością dygresyjki. Mnóstwo mężczyzn zdecydowało się odpowiedzieć na otrzymane listy. W ciągu kolejnych tygodni,

miesiący, a czasami nawet lat, otwierali swoje serca przed nieistniejącymi przyjaciółkami. Wielu z nich się zakochało, wielu żyło w przekonaniu, że oto natrafili na pokrewne dusze. Przesyłali Lowry'emu setki tysięcy dolarów, byle tylko listy miłosne nie przestawały nadchodzić. Niektórzy posunęli się nawet do tego, że w testamencie zapisywali swoim „wybrankom” wszystko, co posiadali. Federalnym śledczym w końcu udało się ustalić, że dzięki pomysłowemu planowi Lowry zgromadził miliony dolarów. Jego firmy zajmowały wszystkie pomieszczenia w jednym z najbardziej prestiżowych biurów w centrum Moline, w stanie Illinois. Lowry był też właścicielem drukarni wystarczająco dużej, by drukować średniej wielkości gazetę. Prowadzona przez niego organizacja zatrudniała pięćdziesięcioro pracowników, a w chwili aresztowania miał do dyspozycji flotę dwudziestu samochodów, wśród których znalazło się kilka rolls-royce'ów i jaguarów.

Zawszy pociągały mnie opowieści o oszustach, takich jak fałszerze dzieł sztuki. Są to zazwyczaj przestępcy o barwnych osobowościach, a ich niezwykle dzieje aż proszą się o ciekawe artykuły. Jednak w tym konkretnym przypadku uderzyło mnie coś zupełnie nieprawdopodobnego: gdy przekręt Lowry'ego w końcu został zdemaskowany, a jego samego w 1988 r. postawiono przed sądem pod zarzutem oszustw pocztowych, do sali rozpraw w mieście Peoria, w stanie Illinois, przybyło wielu odbiorców listów miłosnych, *by go bronić*. Niektórzy zeznawali, że dzięki Kościołowi Miłości mieli siłę nie popadać w uzależnienia, nie czuli się też samotni – dwóch członków Kościoła wyznało wręcz, że listy powstrzymały ich od targnięcia się na swoje życie. Znalazł się i taki, który nie przebierał w słowach, czyniąc wyrzuty śledczym, że „zrujnowali mu życie”.

O co, u licha, w tym wszystkim chodziło? Dlaczego, gdy oszustwo zostało ujawnione, *ofiary stanęły w obronie oszusta?*

Zupełnie jakby obie strony były w tym razem, złączone jakimś osobliwym paktem współnictwa. Zacząłem rozmawiać na ten temat z pisarzem specjalizującym się w popularyzacji nauki, Billem Meslerem i właśnie ta rozmowa okazała się początkiem niniejszej książki. (Choć opowiedziana moim głosem i zasadniczo z mojego punktu widzenia, książka jest ukoronowaniem naszej współpracy.)

Pierwotna zaledwie ciekawość z czasem przekształciła się w potrzebę zrozumienia władzy – oraz paradoksu – samooszukiwania się. Przeprowadzone przeze mnie badania w końcu doprowadziły do podważenia fundamentalnych aspektów mojego widzenia świata. Gdzieś po drodze zdałem sobie sprawę, że całkiem sporą część swojego dorosłego życia poświęciłem pracy mającej bezpośredni związek z tematem złudzeń i samooszustw. Moja książka *The Hidden Brain*, której efektem było między innymi powstanie podcastu i programu radiowego, również poświęcona jest zdejmowaniu kolejnych warstw kłamstw niepozwalających nam dostrzegać rzeczywistości takiej, jaka ona jest i uniemożliwiających nam stanie się swoimi najlepszymi wersjami. Wartość odkrywania mentalnych pomyłek i odchyłeń wydaje się oczywista – w końcu żyjemy w czasach, które jak nigdy wcześniej obnażają opłakane skutki kłamstw, przekrętów i oszukiwania samych siebie. I, rzecz jasna, wszyscy pragniemy oddzielać to, co prawdziwe od fałszu. Od czasów Sokratesa – *poznaj samego siebie!* – filozofowie i naukowcy przekonują nas, że najwyższym dobrem jest zdolność widzenia rzeczy takimi, jakimi są, odróżniania ułudy od rzeczywistości. „Prawda was wyzwoli!” od zawsze była i wciąż jest mottem reformatorów i rewolucjonistów. Jak wobec tego rozumieć adresatów listów miłosnych autorstwa Lowry’ego – ofiar jego przekrętu – którzy nie tylko ulegli osobliwemu złudze-

niu, ale walczyli o utrzymanie go przy życiu, gdy jego prawdziwe oblicze zostało ujawnione?

Najprostsza odpowiedź to ta, którą zaproponowano w talk show *Geraldo* i którą przyjęły media relacjonujące proces i całą historię: ofiary Lowry’ego to biedne, żałosne naiwniaki. Okazali się za słabi, by zawalczyć o swoje, gdy przejrzeni na oczy i odkryli, jak bardzo z nich zakpiono. Do jednego z odcinków wspomnianego programu prowadzący Geraldo Rivera zaprosił pewnego członka Kościoła Miłości, modelkę pracującą dla Lowry’ego i asystentkę pomagającą przy redagowaniu listów. Rivera zaopatrzył się w masę rekwizytów, takich peniuar czy koronkowa bielizna, którymi wymachiwał niczym flagami, przedstawiając szczegółowo „misterną mistyfikację”.

Elementem tej prezentacji było też pokazanie z wręcz teatralną ekspresją wyciągniętej do góry dłoni z jednym z wysłanych listów, po czym Geraldo zwodniczo uwodzicielskim głosem przeczytał następujący fragment: *Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że żyłam dla tej jednej chwili. Twoje pocałunki były tak namiętne, a jednocześnie bez odrobiny natarczywości. Położyłam się na kanapie, a ty położyłeś się tuż obok, tak blisko, niemal na mnie. Deszcz wystukiwał swoją rytmiczną melodię o dach. Wiatr szumiał gdzieś ponad nami. To była noc stworzona do miłości. To była noc dla nas.*

Kamera przesunęła się na Carla Cornella, osiemdziesięcioletniego mieszkańca stanu Arkansas i wiernego wyznawcę Kościoła Miłości. Tego dnia miał urodziny, podróż do Nowego Jorku, gdzie mieściło się studio, była jego pierwszą wyprawą samolotem. Starszy pan ze spokojem słuchał, jakimi bezlitosnymi słowami Geraldo przedstawiał schemat działania Lowry’ego, a gdy w końcu dano mu szansę zabrać głos, powiedział z gniewnym błyskiem w oczach:



– Opłaciłeś mi lot tutaj, ale gdybym wiedział, w czym będę musiał wziąć udział, to nigdy bym się tu nie zjawił.

Geraldo próbował załagodzić sytuację, ale Cornell nie zamierzał dać się uspokoić:

– Przyjechałem tutaj, żeby opowiedzieć, jak było naprawdę, ale nie dajesz mi żadnej szansy.

– Carl, nie chcę ranić twoich uczuć, tylko przedstawić fakty – odparł Rivera.

– To nie moje uczucia ranisz – zripostował Cornell – tylko moich przyjaciół.

Gdy po raz pierwszy natknąłem się na historię Kościoła Miłości, bez większego zastanowienia przyjąłem konwencjonalne wytłumaczenie, że Lowry był sprytnym oszustem, a jego ofiary łatwowiernymi głupcami. Jednak po przeprowadzeniu rozmów z członkami Kościoła, zapoznaniu się z ich zeznaniami na procesie Lowry’ego, wywiadzie, jakiego mi udzielił on sam w 2011 r., a także przestudiowaniu setek artykułów i opracowań naukowych z dziedziny medycyny, psychologii i ekonomii, zacząłem w to konwencjonalne wyjaśnienie powątpiewać. Jednym z powodów było dokonane przeze mnie odkrycie, że samooszukiwanie się członków Kościoła, ich *współudział* w przekręcie, miały niewiele wspólnego z odchyleniem od normy. Podobnych przykładów nie trzeba było daleko szukać. Zazwyczaj nie miały w sobie takiego ładunku dramatycznego. Wiele odzianych było w szaty przyzwoitości i szacunku – nikomu raczej nie przyszłoby do głowy publicznie ogłaszać, że to „przekręty”, bądź oczekiwać, że znajdą należyty finał w sądzie. Wszystkie cechowała pewna wspólnotowość pomiędzy oszukującymi i oszukiwanymi. Niektóre z nich dość klarownie okazywały swoją naturę, jednak w przypadku znakomitej większości pozostawały w cieniu niedopowiedzenia, pozostawiając miejsce tylko na niejasne domysły.

Ich wszechobecność skłoniła mnie do zakwestionowania jeszcze jednego fundamentalnego założenia: czy jest możliwe, zadałem sobie pytanie, że w przypadku przynajmniej niektórych członków Kościoła Miłości *naprawdę* ofiarował im coś wartościowego? To chyba niemożliwe? Czyżby jednak? Przecież to było jedno wielkie oszustwo. Co jednak wówczas zrobić z tymi mężczyznami, którzy uparcie twierdzili, że listy miłosne uratowały im życie, że dzięki nim nie sięgnęli po używki bądź porzucili myśli samobójcze? W mojej głowie zakolała niepokojąca kwestia: czy samooszukiwanie się może przynieść *pożądane* skutki? Ledwo zwerbalizowałem w umyśle to pytanie, a ponownie przywołałem w pamięci mnogość potwierdzających taką tezę przykładów. Zdałem sobie sprawę, że jednym z powodów, dla których czasami trzymamy się błędnych przekonań, jest fakt, że *samooszukiwanie się czasami działa na naszą korzyść* – pozwala osiągać użyteczne społecznie, psychologicznie lub biologicznie cele. Innymi słowy tkwienie w fałszywej wierze nie zawsze musi być świadectwem głupoty, patologii czy nikczemności.

Poddanie w wątpliwość pozornie niewzruszonych założeń miało swoje następstwa: zacząłem dostrzegać rysy na gładkich murach Świątyni Rozsądku i Racjonalności. Zauważyłem, że pakt między oszukującymi i oszukiwanymi są nie tylko wszechobecne, ale często korzystne dla obu stron, zazwyczaj funkcjonalne i czasami wręcz kluczowe. Kształtują naturę i jakość relacji międzyludzkich. Mogą leżeć u podstaw sukcesu grupy, do której przynależymy. Mogą nawet pomagać w przewidywaniu długości życia.

Powoli zaczęło do mnie docierać, że wiara w to, w co chcemy wierzyć i dostrzeganie tego, co chcemy dostrzegać, to w mniejszym stopniu kwestia stanu umysłu czy poziomu inteligencji, a w znacznie większym reakcja na otoczenie

i okoliczności. Samooszukiwanie się nie ma wyłącznego powiązania z edukacją czy oświeceniem – to znak *uprzywilejowania*. Jeśli nie wierzysz w Świętego Mikołaja czy niepokalane poczęcie, to jest tak dlatego, że twoje życie od tego nie zależy. Twój materialny, kulturowy i społeczny świat oferuje ci koła ratunkowe bardziej odpowiadające twoim potrzebom mentalnym i fizycznym. Jednak jeśli okoliczności sprawią, że zachwieje się twoje poczucie bezpieczeństwa, że grunt, na którym stoisz, straci stabilność i runie, to twój umysł okaże się znacznie bardziej otwarty i podatny na przeróżne, najbardziej niewyobrażalne formy samooszukiwania się. Jest takie trafne powiedzenie: W okopach nie ma ateistów.

W samym jądrze naszych trudnych relacji z prawdą czai się dylemat: potrzebujemy nadziei, żeby żyć, jednak świat nieustająco dostarcza nam mnóstwa powodów, by tej nadziei nie odczuwać. Dla większości mieszkańców tej planety wyrzeknięcie się samooszukiwania oznacza otwarcie drzwi desperacji i różnego rodzaju zaburzeniom. Jest to szczególnie widoczne, gdy uczyni się krok wstecz, by nabrać szerszej perspektywy: gdyby całe życie na Ziemi zostało przedstawione na linii czasu rozciągającej się na długości stu metrów, człowiek pojawia się na scenie mniej więcej cztery milimetry od końca. Cała historia ludzkości – powstanie i upadek wszystkich imperiów, każda partytura, każda książka, każdy opasły tom encyklopedii zawierającej wszelką zebraną wiedzę – to wszystko mieści się w tych czterech milimetrach. Jeśli wykonamy jeszcze jeden krok w tył i spojrzymy nie tyle na życie na planecie, ile na nią samą, to okaże się, że człowiek jest w gruncie rzeczy nieistotny: Ziemia jest jedną ze stu miliardów planet, i to tylko w naszej galaktyce, których we wszechświecie są dwa biliony. Wobec takiej potęgi nasze istnienie jest praktycznie niezauważalne.

A życie każdego z nas z osobna? O ile to możliwe, jest jeszcze wielokrotnie mniej znaczące.

Jakie odczucia i emocje wywołuje taka refleksja? Rozumienie choćby w jakimś zakresie skali czasu i przestrzeni może budzić zdumienie, ale i zachwyt. Z drugiej jednak strony świadomość swojej znikomości może okazać się źródłem przerażenia i przygnębienia. W końcu jak i po co dalej egzystować, skoro nasze życie jest tak trywialne, tak nieważne, tak szybko przemija i nie pozostawia po sobie śladu.

W kontekście konieczności podejmowania działań służących przetrwaniu naszego gatunku takie podejście trudno uznać za skuteczne. Skoro musimy nieustająco wtaczać na szczyt góry Syzyfowy głaz – a do tego można porównać starania o przetrwanie i dobrostan naszych potomków – poczucie bezsensowności i nieistotności życia raczej nie pomaga. Z tej właśnie przyczyny w każdej kulturze i pod każdą szerokością geograficzną ludzie wspierają się różnymi wierzeniami, które mają pewien wspólny przekaz: że ich życie ma jakiś cel i znaczenie. Twory takie, jak plemiona czy narody przekonują, że stając się częścią większej grupy, możemy przekraczać granice naszej krótkiej jednostkowej egzystencji. Niemal każda religia świata daje zapewnienie życia po śmierci, a nawet tego, jakie ono będzie. Znajdowanie dziur w tych konstrukcjach nie jest trudne, ponieważ są one często nielogiczne i naciągane. Książki takie jak *Bóg urojony* Richarda Dawkinsa skłaniają nas, by bez strachu patrzeć w pustkę przed nami i wokół nas, a także akceptować naszą nieistotność z pogodą ducha. Jednak wyrobienie takiej postawy to spore wyzwanie, większości ludziom nieobdarzonych wiedzą i horyzontami oksfordzkiego profesora trudno jest przyjmować swój brak znaczenia ze spokojem ducha. Kilka lat temu, gdy zdarzyło mi się gościć w pięknym domu profesora Dawkinsa w Oksfordzie, zadałem

mu następujące pytanie: Odkładając na bok kwestię prawdziwości twierdzeń głoszonych przez różne religie, czy osobę, która doświadcza wielkiego cierpienia, ale jednocześnie znajduje ukojenie w przekonaniu o istnieniu życia po śmierci, należy pozbawiać złudzeń i komfortu wynikającego z wiary? Dawkins nic nie powiedział. Jeśli jesteś osobą, która jest zdania, że nawet ludzi mierzających się z terminalnymi chorobami powinno się odzierać z iluzji niebiańskiego życia wiecznego, to bardzo przypominasz mnie samego z czasów, gdy byłem dwudziestokilkulatkiem. I masz do tego pełne prawo. Pamiętaj jednak, że jeśli samooszukiwanie się jest funkcjonalne, to nie przestanie istnieć, niezależnie od wszelkich wysiłków czynionych przez najbardziej utalentowanych krytyków. Dla życia, podobnie jak dla ewolucji czy selekcji naturalnej, nie jest ważna prawda, *ważne jest to, co się sprawdza w działaniu*.

Spójrzmy na prosty przykład: Narząd, którego używasz do czytania tej książki, czyli twoje oczy, w każdej sekundzie zbiera około miliarda informacji. Ten zalew danych zostaje poddany kompresji, w skutek czego tylko mniej więcej milion z nich zostaje przesłanych nerwem wzrokowym do mózgu. Mózg zatrzymuje z grubsza czterdzieści, reszty się pozbywa. Jak wyjaśnia psycholog kognitywny i autor książek Donald Hoffman, można to porównać do następującego zabiegu: bierzesz książkę, przycinasz ją do wersji skróconej, robisz z niej notatki, a z nich pojedynczą fiszkę.

Zdumiewające jest nie to, że twój mózg redukuje książkę do notatki i robi to w jednej chwili, ale to, że karmi cię *iluzją*, że dostrzegasz wszystko, że – pozostając przy użytym porównaniu – przyswajasz całą książkę. Inżynier mógłby opisać zjawisko określić mianem głębokiego złudzenia – to, co sądzą, że widzimy, ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Jednak większość z nas uznałaby, że z subiektywnego punktu

widzenia wszystko wydaje się całkiem normalne. Okazuje się, że istnieją doskonałe powody, dla których oczy i mózg tak pracowicie filtrują rzeczywistość – rzecz w tym, że widzenie jej taką, jaką jest, zdecydowanie by nam nie służyło. Oczom i mózgowi nie zależy na prawdzie; ich domeną jest funkcjonalność, a odrzucanie dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu milionów dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu tysięcy dziewięciuset sześćdziesięciu informacji z każdego miliarda jest jej esencją.

To, co dzieje się z informacją wizualną, dzieje się w niemal każdej części naszego mentalnego życia. Sądzymy, że widzimy, słyszymy i przetwarzamy prawdę, jednak często wcale się tak nie dzieje. Podobnie jak w przypadku oczu, okazuje się, że istnieją bardzo dobre powody, dla których funkcjonalność stawiana jest na pierwszym miejscu przed rzeczywistością, i to w każdym obszarze. To prawda, że w ten sposób prawda nam umyka, ale z drugiej strony dzięki temu osiągamy rzeczywisty cel: nasze mózgi są skonstruowane w taki sposób, by pomagać nam przetrwać, poszukiwać sposobności, dobrze koegzystować z przyjaciółmi i innymi znanymi sobie ludźmi, wychowywać potomstwo ku korzystnej dorosłości i unikać poczucia egzystencjalnego przygnębienia. Z perspektywy ewolucji obiektywna prawda nie tylko nie jest celem, ale nawet jedyną drogą do niego.

Zygmunt Freud kiedyś porównał umysł do Rzymu. Podobnie jak miasto, twierdził, umysł ma wiele poziomów, każdy uformowany na poprzednim. Wiele freudowskich twierdzeń zostało obalonych w wyniku badań i odkryć neuronauki oraz psychologii empirycznej, jednak akurat w tej, jakże sztywnej idei, kryje się prawda. Na przestrzeni milionów lat, w wyniku